

Ramallah to nie Palestyna

2 czerwca 2010

Jest na Zachodnim Brzegu taki wąski skrawek ziemi, na którym nieomal możesz sobie wyobrazić jak wygląda wolność. Główne izraelskie blokady i punkty kontrolne zostały zdemontowane albo stoją puste, a niegdyś pełni wściekłości kierowcy mogą nie niepokojeni przejechać wśród prastarych wzgórz z Jerycha do Ramallah, a stamtąd do Nablusu w północnej Palestynie. Na tym ułamku ułamka Ziemi Świętej wzrasta gospodarka, gdy dostawy mydła, oliwy z oliwek, napojów orzeźwiających, a nawet miejscowego piwa regularnie docierają do ich miejsc przeznaczenia. (Jak ostatnio pisze Bloomberg w nagłówku: „Zachodni Brzeg odnotowuje 7% wzrost po usunięciu blokad drogowych przez Izrael”).

W Dżeninie i Nablusie jak grzyby po deszczu rosną lśniąca centra handlowe. W Ramallah – politycznym i gospodarczym centrum Zachodniego Brzegu – pojawia się przynajmniej względne poczucie komfortu i prosperity, gdy wdzięczna inteligencja może zawitać do nowych sklepów i modnych barów. Nowy i zyskujący popularność klub Ordżuwan w Ramallah tak zachwala się na Facebooku:

„Światowej klasy zakręcone brzmienia wieczorem i dobre jedzenie w każdej chwili. Zachowujemy podstawowe składniki tradycyjnej kuchni śródziemnomorskiej z Palestyny i Włoch, lecz przyrządzamy nasze klasyczne potrawy w nowy sposób, tak by dogodzić smakoszom naszą sztuką dobrej kuchni.”

WIZYTÓWKA ABBASA I „DOBREGO IZRAELA”

Witajcie w Enklawie Wolności, której mieszkańcy – mała, lecz znacząca część palestyńskiej społeczności Zachodniego Brzegu – doświadczają prosperity i wzrostu jakości życia. Nie przytłaczają ich niezliczone upokarzające blokady drogowe, nie rozwściecza wyczekiwanie w nieskończoność, bo nastoletni

żołnierze arbitralnie podejmują decyzje – tym Palestyńczykom przypadła w udziale odrobina wolności poruszania się i robienia interesów. Częściowe zniesienie okupacji Zachodniego Brzegu, ułatwione dzięki treningowi i „profesjonalizacji” palestyńskich służb bezpieczeństwa przez Amerykanów, pozwala palestyńskiemu prezydentowi Mahmudowi Abbasowi chwalić się zauważalną poprawą jakości życia części ludności, dzięki czemu również Izrael – przytłoczony lawiną potępienia za wojnę w Gazie – ma rzadką okazję pokazać, jaki to jest „wspaniałomyślny”.

Ale poprawa warunków życia mieszkańców Zachodniego Brzegu ze „Strefy A” – wytworu procesu z Oslo, za sprawą którego Palestyńczycy zyskali cywilną autonomię – karmi stary, bolesny resentyment tych Palestyńczyków, którzy pozostają zamknięci w „Strefie C”, gdzie bezlitosny okupant izraelski zachowuje całkowitą kontrolę. Podział na mających-wolność i nie-mających-wolności jawi się jako produkt uboczny strategii „dziel i rządź”, za sprawą której część ludności palestyńskiej odnosi korzyści, co zarówno gniewa, jak i demoralizuje pozostałych.

Jak mówi Jeff Halper, działacz i analityk polityczny, założyciel Izraelskiego Komitetu Przeciwko Wyburzaniu Domów: „To prawda, jest więcej wolności poruszania się, ale to wolność poruszania się w klatce.”

Strategia izraelska – usunięcie barier na części Zachodniego Brzegu przy jednoczesnym utrzymaniu izolacji większości jego terytorium, podzielonego na odosobnione zmilitaryzowane kwartały – zgodna jest z tym, co w ostatnich latach przewidywali izraelscy generałowie czy politycy prawicy i centrum, rozrysowując kolejne mapy i snując kolejne plany (wśród projektantów takiego „częściowego wyzwolenia” Palestyny znajdujemy choćby byłego szefa Izraelskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego gen. Uziego Dajana czy zastępcę przewodniczącego Knesetu Otniela Schnellera). Choć plany te różnią się w szczegółach, każdy z nich przewiduje, mimo ograniczonych

wolności wewnątrz Zachodniego Brzegu, zdecydowane utrzymanie okupacji terenów blisko większości kolonii izraelskich, wzdłuż Doliny Jordanu oraz wokół muru separacyjnego.

ANI PRACY, ANI OJCZYZNY, ANI STABILIZACJI, ANI BEZPIECZEŃSTWA

W obejmującej 60% ziem Zachodniego Brzegu „Strefie C” wolność podróżowania ogromnie utrudniają blokady drogowe i patrole wojskowe, a zamierzających skromnie poprawić swe warunki mieszkaniowe mieszkańców wsi nękają izraelskie buldożery, żołnierze izraelscy raz po raz najeżdżają nocą uchodźców z obozów prowadzonych przez ONZ, zaś koloniści trują należące do Palestyńczyków owce, zalewają ściekami ich gaje oliwne i atakują idące do szkoły dzieci.

Skupiona wokół Ramallah półwolna enklawa jest dla tych Palestyńczyków na dobrą sprawę częścią jakiegoś innego kraju.

„Ramallah to nie Palestyna” – mówi nałogowy palacz w podeszłym wieku Muhammad Abdullah Ahmad Wahdan, demonstrując wściekłą pogardę dla Autonomii Palestyńskiej i stylu życia jej bonzów. „To 5%. Tymczasem 95% Palestyny cierpi.” Siedliśmy na brązowych kanapach w szkocką kratę pod różowym kandelabrem z plastiku, w wyjątkowo zadbanym salonie w jego mieszkaniu w bloku, w leżącym na północ od Jerozolimy obozie dla uchodźców Kalandia. Tylko kilka minut drogi dzieliło nas od przepychu Ramallah, ale równie dobrze moglibyśmy udać się na Marsa – niczym mur więzienia wyłaniała się na horyzoncie izraelska bariera separacyjna. Obecnie mówi się, że Izrael zmieni jej trasę, która odtąd przebiegać będzie przez sam środek obozu – Autonomia Palestyńska nie będzie tu w stanie nic wskórać, gdyż leży on w „Strefie C”. „To przywództwo nic nam nie dało” – mówi Wahdan, popijając z małej szklaneczki słodką arabską herbatę – „ani pracy, ani ojczyzny, ani stabilizacji, ani bezpieczeństwa.”

Wahdan dawno porzucił nadzieję, że Autonomia pomoże mu odzyskać ziemię oraz rosnące na niej cytrusy i oliwki, które

jego rodzina utraciła, gdy 60 lat temu wypędził ją powstający właśnie Izrael. W walce poległ jego 19-letni syn, czyniąc wdową swą ciężarną żonę. Córka otrzymała imię Palestyna – ale Wahdan już ani myśli o jakiegokolwiek ofierze dla przywództwa palestyńskiego. To przecież ludzie, którzy – jak wskazuje jego żona serwując nam napoje orzeźwiające – „wystawiają nasze dzieci na ogień artyleryjski”.

Wahdan stwierdza: „Ta specyficzna klasa burżuazyjna wyzyskuje ludzi, którzy prowadzą walkę. Robiliśmy to dla ich zysku. Tylko oni w ogóle coś z tego mają.”

15-letni Anas, wnuk Wahdana, dodaje siedząc pod wielkim barwionym sepią portretem swego wujka-męczennika: „Chcieli, byśmy poświęcali się nie mając broni. Ich dzieci mają samochody i wille, są właścicielami sieci telefonicznych. Nie ma równości między takimi jak oni a takimi jak ja, żyjącymi w rozpadającym się domu, z ojcem, któremu może nie starczyć pieniędzy na chleb i odzienie.”

Co jeśli młodzi w obozie dla uchodźców wyrażą swe niezadowolenie? „Powiedzą nam: No tak, jesteście dziećmi obozów dla uchodźców. Kim byście chcieli być?” – mówi Munir, przyjaciel Anasa, siedzący obok niego na kanapie. Chce zostać chirurgiem oczu. Mówi dalej: „Tu nie ma nic do roboty, co najwyżej jakieś gry w Internecie. Tuż obok mego domu znajduje się baza wojskowa, zaraz przy niej punkt kontrolny, nocą wkracza armia izraelska. Gdy bawisz się grając w coś w Internecie, to i tak możesz być zadowolony, że cokolwiek tego dnia robisz.”

To tacy jak on nastolatki z obozów dla uchodźców zasilali ruch oporu przeciwko okupacji. Ale już dość, mówi Munir: „Cały ten gniew zatonął w beznadziei.”

Może nadejdzie dzień, gdy znów gniew sięgnie niebios. Teraz jednak, jak mówi Anas: „Ludzie stwierdzają: Jestem wyczerpany, a kamienie mnie nie wyzwolą.”

CZUJĘ SIĘ JAK SCHIZOFRENICZKA

Gniew Palestyńczyków na ich przywództwo nie jest czymś nowym. Nie jest też tylko wewnątrzpalestyńskim gniewem klasowym. Już w 1994 r. składający w Pierwszej Intifadzie ofiarę z siebie mieszkańcy Strefy Gazy pałali gniewem, gdy ich „wyzwoliciele” przybyli z Tunisu, by nimi zarządzać w swych willach i siedząc w rozpędzonych luksusowych furach. Tym, co nade wszystko karmi dziś resentyment, jest jednak postępujący brak łączności między kontrolowanymi przez Izrael enklawami, prawdziwa przepaść izolacji, nie do przeskoczenia dla większości Palestyńczyków.

„Czuję się jak schizofreniczka” – mówi Naela Chalil, spędzająca weekendy z rodziną w obozie dla uchodźców Balata niedaleko Nablusu, lecz mająca pracę w biurze dziennika Al-Ajjam w Ramallah. Jako dziennikarka śledcza udokumentowała ostatnio naruszenia praw człowieka, których ofiarą padają działacze Hamasu w więzieniach Autonomii Palestyńskiej. Popija napój mleczny w Café de la Paix, wpisującej się w coraz powszechniejszą kulturę komfortowych kafejek w Ramallah. Mówi: „Dla moich przyjaciół w Ramallah nie ma większych problemów niż to, jak się odchudzić. W obozie Balata problemem jest to, jak przeżyć”.

Chalil nie może się nadziwić wyrastającym z naiwną wiarą, że pozostaną nietknięte, oszklonym budynkom w Ramallah. „Ludzie w obozach nie dobudowują w swych domach nawet pierwszego piętra. Wiedzą, co to znaczy w jedną noc utracić dom”.

Jak w Kalandii, tak i w Balacie młodzi – jak mówi Chalil – „czują, że władze wykorzystują ich by osiągnąć swe cele. Mogą oni stać się zapalnikiem następnego konfliktu”.

Gniew nie kieruje się dziś wyłącznie przeciwko Izraelowi, lecz również przeciwko Autonomii, postrzeganej coraz częściej jako siła służalcza wobec Stanów Zjednoczonych i Izraela. Działacz z okolic Betlejem węszy tu „rządy Vichy”.

Gniew zawrzał już pod koniec 2008 r., w pierwszych dniach izraelskiej wojny przeciwko Strefie Gazy. „Tu, w Ramallah, ludzie witali Nowy Rok bawiąc się i pijąc w restauracjach, podczas gdy w Gazie »świętowano« bombardowanie przez Izrael” – wspomina Chalil. „Na demonstracji pojawiło się ledwie 50 czy 60 osób. Na każdego demonstranta przypadało dwóch łebków ze służb bezpieczeństwa. Można było poczuć się kimś ważnym! VIP-em!” – Chalil sący swój napój. „Pozostaje ci już tylko ten sarkazm nim napełni cię gniew.”

Ale na Placu Manara w Ramallah zbierały się kolejne demonstracje, Chalil zaś je relacjonowała.

Wspomina: „Ileokroć ludzie kierowali się na Plac Manara, powstrzymywały ich siły bezpieczeństwa. Biły, rozpraszały gazem łzawiącym. Nie pozwalały iść w stronę punktów kontrolnych. Jesteśmy normalnymi ludźmi, a oni nas biją”.

Mówi: „Powoli przebiera się miarka”.

KOLONIZATORZY SZCZUJĄ DZIECI PSAMI

Im dalej w głąb „Strefy C”, tym bardziej wymierzony w Autonomię gniew ustępuje wzruszeniu ramionami. Na Wzgórzach Południowego Hebronu, oddalonych od Ramallah z jego wirującym światowym pulsem o 30 mil, które zdają się być latami świetlnymi, centralnym punktem rzeczywistości jest nagła walka z kolonizatorami i żołnierzami izraelskimi o każdy skrawek ziemi i dostęp do wijących się wśród wzgórz ścieżek, pozwalających dotrzeć wieśniakom do ich domów i szkół.

Mieszkająca na osadzonych w samym środku „Strefy C” Wzgórzach Manar, uczennica VIII klasy, opowiada: „Kolonizatorzy zwykli przychodzić z psami – i szczuć je na nas”. Manar ma 13 lat, lecz wygląda na 10. Tak jak wielu jej palestyńskich sąsiadów, żyje w „wiosce” namiotów i wybudowanych na Wzgórzach ziemianek. Ma z niej dwie godziny drogi do szkoły. Raport Zespołów Chrześcijan Na Rzecz Pokoju, mających siedzibę w wiosce At-Tuwani, zawiera dokumentację wielu incydentów, w

trakcie których często zakapturzeni bądź zamaskowani kolonizatorzy rzucali w dzieci kamieniami, bili je i kradli ich tornistry. (Ataki z użyciem kamieni udokumentowane są również na filmach wideo zrobionych przez mieszkańców tych okolic.) Jak mówi Manar, kolonizatorzy nie tylko szczuli ją psami, lecz również strzelali z procy jajami. Za sprawą tych ataków armia izraelska ma obowiązek eskortowania dzieci do szkół, lecz „czasem nie ma ich na czas”, i wówczas Manar ze strachu przed kolonizatorami nie idzie do szkoły. „Czasem czarne kaptury zakrywają ich twarze. To naprawdę przerażające”.

Uczestniczyliśmy wraz z około 75 dziećmi i nauczycielami w marszu solidarności, który skierował się ku szkole Manar. Marsz zainicjowali mieszkańcy At-Tuwani, stającej się centrum walki bez użycia przemocy przeciwko okupacji. Manar przywoływała swe wspomnienia, krocząc drogą tak wyboistą, że przejechać nią można tylko samochodem z napędem na cztery koła albo traktorem – władze okupacyjne nie pozwalają nawet załatać dziur w drodze. Gdy jej koledzy i koleżanki ze szkoły maszerowali śpiewając i bijąc w bębny, Manar okazywała niepokój, zabijający najmniejszy ślad tej radości życia, jaką zwykle okazuje dziewczynka w jej wieku.

„Gdy tata zabiera mnie na wycieczkę do Hebronu i jedzie tą drogą” – opowiada wskazując na kolonię izraelską Maon – „to krzyczę mu w samochodzie: Nie chcę jechać tą drogą! Tak boję się kolonizatorów.” Od pierwszej klasy Manar ma problemy ze zdrowiem, a dziś, 7 lat później „ciągle się pogłębiają. Lekarz, który przyjechał do mej wsi, powiedział: Ta dziewczynka ma słabe serce i może nie wytrzymać dalszego życia w strachu”.

Chwilę potem Manar przeprosza, że aż tyle mówi o problemach swego codziennego życia, i odbiega do swych kolegów i koleżanek ze szkoły.

Jak zwykle w „Strefie C”, codzienne życie mieszkańców wsi to

ograniczenia swobody podróżowania, wyburzenia domów i konfiskaty ziemi. Niektórzy żyją cały czas w swych namiotach pasterskich, bojąc się, że gdy je opuszczą, na zawsze stracą swą ziemię.

„Utrata każdego skrawka ziemi oznacza dla nich cierpienie – każdy z nich jest im potrzebny, by móc wypasać ich stada” – mówi amerykański działacz Joshua Hough, przemierzając wyboistą drogę do szkoły. Wiele czasu spędza w At-Tuwani, współpracując z Zespołami Chrześcijan Na Rzecz Pokoju. „Kawałek po kawałku, bezustannie odbiera się im ziemię. Z roku na rok coraz mniej ziemi przypada w udziale Palestyńczykom”.

Dotarliśmy do szkoły po godzinnym marszu: potrójny stalowy szkielet na betonowym fundamencie, przystrojony płótnem. Miejscowi mówcy przemawiają przez megafon, domagając się wolności podróżowania i dostępu do edukacji.

Po przemówieniach nauczyciele rozdają długopisy. Manar i inni uczniowie natychmiast tłoczą się z wyciągniętymi rękami i pełną emocji wrzawą.

„Przedstawiciele Autonomii Palestyńskiej rzadko kiedy w ogóle tu przyjadą” – mówi Naim Al-Adara, odwożąc nas z powrotem spod szkoły czerwonym pickuperem Toyoty z obdrapanym lakierem. Służył za prowizoryczny bus szkolny dla dzieci z okolicy. Opowiada, jak kiedyś przyjechał z Ramallah człowiek z palestyńskiego ministerstwa spraw lokalnych, odmówił jednak podróży pojazdem Autonomii Palestyńskiej. „Wzięliśmy go więc z Ramallah naszym samochodem i na własny koszt.” Opowiada, że urzędnik ten był zatrwożony warunkami, z którymi się zetknął. „Mówił, że właśnie się dowiedział, że to nasza ziemia. Minister, taki jak on, nie wie, że ta ziemia należy do nas? Jak to, jak minister może o tym nie wiedzieć? Jest pan ministrem miejscowego rządu!”

„Najwyraźniej nie miał pojęcia, co dzieje się w jego własnym kraju”.

Al-Adara zaśmiał się z niedowierzaniem, łypiąc na wyboistą drogę przez rozbitą przednią szybę. „Niestety o nas zapomniano”.

Autorka: Sandy Tolan

Tłumaczenie: Paweł Michał Bartolik

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

NOTA BIOGRAFICZNA

Sandy Tolan – profesorka nadzwyczajna Szkoły Komunikacji i Dziennikarstwa Annenberga na Uniwersytecie w Południowej Kalifornii oraz autorka książki *The Lemon Tree: An Arab, a Jew, and the Heart of the Middle East*. Wskazówek faktograficznych udzieliła Lubna Takruri.